

MARGINESY

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

# Zaginiona

Piotr pochodził ze szczęśliwej, kochającej rodziny. Rodzice byli razem od czasów liceum i właściwie nigdy nawet nie przyszło im do głowy, że mogłoby być inaczej. Wakacje spędzali zawsze w tym samym terminie i tych samych miejscach, a każde święta były rodzinną sielanką żywcem wziętą z amerykańskiego filmu. Zupełnie inaczej było z Alicją, żoną Piotra, której rodzice-artyci przez całe życie byli targani najróżniejszymi namiętnościami. Nigdy nie dorobili się własnego domu, nie posyłali także córki na prywatne korepetycje, za to ciągnęli ją po wszystkich ważniejszych wernisażach, jakie odbywały się w mieście.

Ala i Piotr poznali się na studiach i choć nie była to jakaś wielka miłość, pobrali się pod naciskami rodziny Piotra zaraz po tym, jak ona zaszła w ciążę. Zamieszkali niedaleko osiedla rodziców Piotra, co wiązało się niestety z codziennymi wizytami teściów. Alicja od zawsze była przyzwyczajona do swobody – sprzątała, kiedy miała na to ochotę, i spała, kiedy chciała jej się spać. Nie lubiła być czyjąś podwładną, dlatego zawsze pracowała jako wolny strzelec. Kiedy pojawiło się dziecko, wizyty teściów stały się jeszcze częstsze. Piotr pracował, Ala siedziała w domu z maluchem, nie mając czasu na pisanie ani robienie zdjęć. Tym samym niedobrowolnie skazała się na całkowite uzależnienie od męża. Choć jej życie, niegdyś barwne i pełne ludzi, a teraz dość smutne, zaczynała ją przygnębiać, nigdy nie narzekała. W głębi duszy próbowała uwierzyć, że tak trzeba. Zaciskała zęby, kiedy przyłapała teściową na grzebaniu w jej rzeczach, przetrzymywała także jałowe rozmowy z mężem i wieczory spędzane z pilotem w ręku. Z czasem zaczęła się także zaniedbywać – nie podcinała włosów, przestała się malować i przez cały dzień chodziła w sukienkach, które wyglądały jak worki na ziemniaki.

Pewnego popołudnia umówiła się z siostrą męża na zaaranżowane przez niego zakupy, na które nie miała najmniejszej ochoty. Nigdy na nie dotarła – Alicja zniknęła bez śladu. Trzy dni później policja zaczęła poszukiwania, które jednak nie przyniosły rezultatów. Kobiety nie było u rodziców, nie kontaktowała się także z żadnym spośród znajomych. Piotr nie dawał za wygraną – przez wiele miesięcy wspólnie z rodzicami poszukiwał Alicji za pomocą mediów, plakatów, informacji w sieci, a nawet wróżek. Żadne z tych działań nie przyniosło jednak efektów.

Choć mijaly lata i wszyscy pogodzili się z tym, że Alicja dołączyła do grupy osób, które zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach, Piotr się nie poddawał. Regularnie kontaktował się z organizacjami zajmującymi się poszukiwaniami zaginionych, ze szpitalami i noclegowniami dla bezdomnych. Przeszukiwał także Internet i portale z ogłoszeniami. Wielokrotnie trafił na fałszywe ślady oraz naciągaczy, którzy chcieli wyłudzić pieniądze, jakie obiecywał za udzielenie mu jakichkolwiek informacji o zaginionej żonie.

Pewnego dnia Piotr dostał jednak maila od nieznanego nadawcy, który zawierał fragment nagrania z przemysłowej kamery umieszczonej w sklepie. Nie było wątpliwości – na nagraniu była jego żona, trochę starsza i inaczej ubrana, ale z pewnością była to ona. Piotr natychmiast postawił na nogi całą rodzinę, zawiadomił policję i rozpoczął poszukiwania z jeszcze większą determinacją niż dotychczas. Chciał wierzyć, że miała wypadek i straciła pamięć. Tym razem dręczyła go jednak inna myśl – a co, jeśli jego żona celowo się z nim nie skontaktowała? Może po prostu zostawiła go dla kogoś innego?

Piotr wziął urlop i ruszył na poszukiwania Alicji, podążając tropem nagrania. Nigdy za bardzo nie lubił podróżować, brzydził się jeździć pociągami i spać w hotelach. Najbardziej jednak czuł się zagubiony, gdy znalazł się w ruchliwej i zatłoczonej stolicy, gdzie teraz prawdopodobnie mieszkała Alicja. Z pewnymi trudnościami trafił do galerii, skąd prawdopodobnie pochodziło nagranie jego żony, i skontaktował się z mężczyzną, od którego je dostał. Jak się okazało, facet, a właściwie wyrośnięty byczek ubrany w sportowe ciuchy, był chłopakiem jednej z ekspedientek. Kiedy natrafił na ogłoszenie Piotra na Facebooku, stwierdził, że będzie to łatwy sposób na zarobienie kilku groszy. Ekspedientki butik przyznały, że znają Alicję – kobieta od kilku miesięcy była stałą klientką tego drogiego sklepu.

Piotr, nie mając lepszego pomysłu na znalezienie Alicji, spędził kolejne dni, czatując w galerii i wypatrując żony. Zdezorientowany przechadzał się między sklepami, ale nigdy nie odchodził zbyt daleko – nie chciał tracić z oczu miejsca, gdzie ponoć widywano jego żonę.

Wreszcie po pięciu dniach oczekiwań ją zobaczył. Nosiła teraz drogie, ekskluzywne ciuchy, ale ubrana była z nonszalancją, bo na nogach miała trampki. Z początku go nie poznała. Później wybuchnęła dziwną mieszanką ni to smutku, ni radości.

Piotr, choć wiedział, że może nie powinien, namówił Alicję do powrotu. Zdawał sobie sprawę, że żona całkiem świadomie porzuciła i jego, i ich syna, jednak to właśnie o jego dobru myślał przez cały czas poszukiwań. Czuł, że postępuje słusznie. Alicji zostało do załatwienia kilka pilnych spraw na miejscu, ale obiecała mu, że wróci do ich dawnego domu razem. Piotr odetchnął z ulgą.

Tego dnia, kiedy mieli wspólnie wyjechać, czekał na nią na peronie. Ale Alicja się nie zjawiała. Poczuł się straszliwie oszukany, a jednocześnie rozgzeszony z całej nienawiści, jaką do niej czuł. Po powrocie do domu poinformował rodziców, że kobieta z filmu była rzeczywiście bardzo podobna do żony, ale okazała się kimś zupełnie innym.

Kilka miesięcy później przyszły także papiery rozwodowe, które Piotr bez wahania podpisał. Długo zastanawiał się, co powiedzieć dziecku. Postanowił jednak, że dopóki nie dorośnie, postara się utrzymać w jego pamięci taki obraz Alicji, jaki sam chciałby zachować.

# Oklaski przy siatce

No i byliśmy świadkami kolejnej piłkarskiej kompromitacji polskich drużyn klubowych. Podkreślam – drużyn klubowych, nie polskich futbolistów. W Wiśle Kraków i Legii Warszawa gra przecież zdecydowanie więcej obcokrajowców niż Polaków. Szczególnie w Wiśle, gdzie ściągnięto „kopaczy” (a nie futbolistów) z kilku krajów. Zawodnicy ci kopiają piłkę wyjątkowo mizernie, ale nie zmienia to faktu, że Bogusław Cupiał, właściciel klubu, płaci im całkiem nieźle. Powtórzę to po raz kolejny – ci piłkarze tylko dla wynagrodzenia zgodzili się przyjechać pod Wawel, bowiem u siebie zarabiali kilkakrotnie mniej niż w Krakowie. No i grają sobie na pół gwizdka, chcąc doczekać zakończenia kontraktu. W ich grze nie widać krzty zaangażowania czy ambicji. Nie zależy im na wynikach, wygranych czy awansie do kolejnej fazy europejskich rozgrywek. Tak oceniam zagranicznych zawodników krakowskiej Wisły, którzy ponadto blokują młodym, zdolnym polskim piłkarzom miejsce w pierwszym składzie. A takich, moim zdaniem, w Krakowie nie brakuje.

Krakowska drużyna zafundowała nam żałosny spektakl w meczu przeciwko duńskiemu zespołowi Odense BK. Trudno to spotkanie nazwać inaczej niż blamażem Wisły. Porażka 1:3 na własnym boisku i przed własnymi kibicami stawia Wisłę w roli autsajdera w swojej grupie Ligi Europejskiej. A miało być wyśmienicie, jak zapowiadał holenderski trener krakowskiej drużyny. Przekonywał, że uczy zawodników grać po holendersku. W porządku – szkoda tylko, że jak na razie nie widać tego efektów. Zawodnicy Wisły grają bowiem po swojemu – ani to styl holenderski, ani polski, ani nawet krakowski. Jest to zwykła, chaotyczna i mało skuteczna bieganina po boisku. Może uda się czasem zdobyć gola, a jak się nie uda... to przecież nic się nie stanie – swoje wynagrodzenie zawodnicy i tak dostaną. Porażka z duńskim zespołem praktycznie przekreśla szanse Wisły na wyjście z grupy (awansują 2 pierwsze drużyny). W końcu pozostałymi przeciwnikami Wisły są już zdecydowanie mocniejsze drużyny. FC Twente przewodzi holenderskiej ekstraklasie, a Fulham całkiem nieźle sobie radzi w lidze angielskiej.

O występie Wisły piszę z niesmakiem. Miałem nadzieję, że krakowska drużyna po porażce w eliminacjach do Ligi Mistrzów pokaże wreszcie przyzwoity futbol w rozgrywkach Ligi Europejskiej. Nic z tego. Forma wiślaków to kolejne potwierdzenie tezy, że marzenia związane z polskim futbolem należy odłożyć na daleką przyszłość.

Także Legia Warszawa przegrała swój pierwszy mecz w rozgrywkach Ligi Europejskiej, ulegając na wyjeździe 0:1 drużynie PSV Eindhoven, która jest wysoko notowana na europejskim rynku piłkarskim. Wydaje mi się, że Legię wciąż jednak stać na wyjście z grupy z drugiego miejsca. Pozostali przeciwnicy nie są tak silni jak holenderski zespół. Rapid Bukareszt jest dość dobrze znany polskim kibicom oraz trenerowi Legii, wyeliminował przecież z tych rozgrywek Śląsk Wrocław. Nie jest to jednak jakiś klasowy zespół – w lidze rumuńskiej plasuje się gdzieś w środku tabeli. Kolejny przeciwnik to Hapoel Tel Awiw, zespół wcale nie lepszy od Legii. Ma więc warszawska drużyna realne szanse na awans. Jeżeli jednak do

awansu nie dojdzie, będziemy mogli mówić o kolejnej kompromitacji.

Na szczęście są jeszcze inne dyscypliny, które potrafią sprawić radość sympatykom sportu. Chodzi mi oczywiście o siatkówkę – nasi siatkarze wywalczyli bowiem brązowy medal w mistrzostwach Europy. Przed wyjazdem na ten turniej mocno krytykowano zarówno naszą reprezentację, jak i trenera. Nie ukrywajmy, były ku temu powody. Na rozgrywanym niedawno w katowickim Spodku Memoriale Huberta Wagnera nasi siatkarze wypadli przecież naprawdę kiepsko, przegrywając nawet z zespołem Czech. Trener zapewniał jednak, że nie jest źle, że to turniej towarzyski, a jego mało interesującą spotkaniem towarzyskie. Dla niego takie mecze są treningiem, rozgrzewką przed ważniejszymi zawodami.

Mistrzowski turniej Polacy (mistrzowie Europy sprzed dwóch lat) rozpoczęli od zwycięstwa 3:1 z Niemcami. Potem była jednak porażka z Bułgarami 1:3. Zawodnicy razem z trenerem zaczęli więc kombinować, jak rozegrać ostatni mecz ze Słowacją, by po wyjściu z grupy trafić na teoretycznie słabszych przeciwników. Polacy postanowili umiejętnie wykorzystać regulamin mistrzostw – woleli przegrać spotkanie ze Słowakami (i przegrali) i wyjść z grupy z trzeciego miejsca. Chodziło głównie o to, by w ewentualnym meczu o wejście do półfinałów nie trafić na Rosjan. Kalkulacja okazała się udana, chociaż niektórzy komentatorzy uznali, że było to niezbyt sportowe zachowanie. Potem było już lepiej – najpierw pokonaliśmy Czechów, a następnie Słowaków. W półfinale po słabej grze Polacy ulegli jednak Włochom. Pozostała nam więc walka o brązowy medal z Rosjanami. Nasz zespół zagrał dobrze, pokonując Rosjan, którzy przed turniejem uważani byli za zdecydowanego faworyta rozgrywek. Rosjanie mieli być mistrzami Europy, ale ostatecznie nie zdobyli żadnego medalu. Tylko gratulować zawodnikom i trenerowi. Teraz przed Polakami kolejne ważne mecze, mam na myśli kwalifikacje olimpijskie. Dobrze by było, gdyby nasz zespół zagrał w olimpijskim turnieju. Na szczęście mamy młodą drużynę, która z miesiąca na miesiąc powinna robić dalsze postępy.

Czy nasze panie pójść śladami mężczyzn? Pytam, bo w Serbii i we Włoszech rozpoczęła się właśnie turniej o mistrzostwo Europy kobiet. Przypomnijmy, że dwa lata temu (mistrzostwa odbywały się w Polsce) nasza reprezentacja wywalczyła brązowy medal. Nasze siatkarki rozpoczęły turniej od zwycięstwa nad Izraelem 3:0. Mecz z Czeszkami był znacznie trudniejszy – szczególnie zacięta walka toczyła się w drugim secie (28:26). Ostatecznie Polki wygrały jednak 3:0 i mają już zapewniony awans do drugiej fazy mistrzostw. Jeżeli wygrają ostatni mecz w grupie (a powinny), awansują do ćwierćfinałów z pierwszego miejsca. Patrząc na grę naszego zespołu w dwóch dotychczasowych spotkaniach, można mieć nadzieję, że Polki sprawią nam kolejną miłą niespodziankę.

A zatem we wrześniu w roli głównej wystąpiły siatkarze i siatkarki. Można śmiało powiedzieć, że na nasze reprezentacje akurat w tej dyscyplinie naprawdę można liczyć. To pocieszające, bo na innych odcinkach sportowych zmaganiach reprezentantom Polski niestety się nie wiedzie. No cóż, nie oczekujmy za dużo szczęścia naraz.

HENRYK MARZEC